

## Krzysztof Siwczyk

### **Dobrostan**

Na wejściu proponuje się zasadniczy spokój, zachować  
Mały mózg zwarty przęsłkiem kości jak ufny tranzyt tajemnicy,

Gdy patrzy w aleję kryształu, gdzie możemy przejść bez dwóch zdań,  
Dawcy, nadawcy sensu, trupie główki w body i skórach.

Na dzień dobry myśliciel podparty prawicą w rozsądnym utrapieniu,  
Które należy okazać niczym szacunek dla zagadnień,

Z jakimi poradził sobie w biedzie, gdy jeszcze dysponował układami.  
Poradzono sobie i z nim, kanał bez przewodów, flagelacja wiedzą.

*Aceton w samo południe, Tygrys od piętnastej.* Następnie  
Rasa panów i pani, wszyscy jak łososiowe żółtki. Tyle tego

W gablotach, kłamoty, wnętrza, przekroje niczym  
Palety raczkującej abstrakcji, gdy chlapnął jeden z drugim,

Że należy udać się w podróż gdzie indziej, gdzie jeszcze nikogo nie  
było,  
Bo nikt nie powinien był być.

Tymczasem nasz niesforny Sylen wyskoczył jak niebyły  
Z tym tu, tego, rozwiązaniem. Od teraz dobrostan dla wszystkich,

Koniec z opętaniem, i widzimy się wreszcie w pełni,  
Po tylu latach niepokojów, plastynacie. To ja witam, jestem ty.

### Podzwonne

Podzwonne majaczenie, nijaczenie nad koszem,  
gdy balansuję między łaknieniem a łkaniem,

wybierając nać czegoś większego jak mętny ssak  
w rytualnej rui – to widać właśnie.

Szlaban, kotwica, silniki stop, generalna zajezdnia,  
głową do boku, nogami do przodu, *totentanz finito*

w objęciach wiosny, w czym jesteśmy tacy akuradni?  
W zgodzie zaprzeczenia, grymasie niedowierzania,

gdy niczego nie ma na dnie.

Komunia kompost, komuna flaki – to wszystko,

w dzisiejszym stanie rzeczy, gdy powziąłem postanowienie  
odnowy w duchu wziętym z gleby jak kurs

złota, refluks runa, z którego wyrosłem, jest taki słaby,  
wiatr stoi w areszcie żagli, dmie echo słabej edukacji.

Skoro spotkać można jedynie to, na co się zasługuje,  
czego nie można zdzierżyć, z czym wypada się żyć

na dłuższą, zwłaszcza krótszą metę, to niech ci będzie,  
winodajco, ziemia lekką przestrogą.

## Krzysztof Siwczyk

### Deklaracja podległości

*dla Ryszarda Krynickiego*

Magia den na końcu wspomnień, fason łez w zanadru też,  
trzyma w pionie drabinki zdań oznajmujących kres  
dociekań, że niby jak, że niby gdzie wtedy byłem,  
jak nie u siebie, z sobą naprzeciwko kołchozu wschodów  
i zachodów słońca, jak produkcyjniak w kuckach,  
egzemplarz z plasteliny, świątek w kamaszach, handlarz  
nudy pogrążony w niejasnej lekturze niczym grudka żwiru  
w asfalcie, którym wylano oczywistą ścieżkę orania: od do.

Nic z tych rzeczy, amen z pacierza, podmiot z drogi  
i łąduję w surówce dni jak odpad z taśmy, znikając w try miga,  
patrzac w niebo nad lotniskiem, które przesuwa ziemię ku  
lepszym widokom na spektakl ruchu, gdy robisz beczkę,  
działa wziewnie, poza regulaminem, w nowym wirze,  
wczesną wiosną, w dole jest całkiem rzewnie, nowe dzieci  
kicają w obłędzie, nowe matki i nowi ojcowie odbierają lekcję  
monotonii, rapier jak tableau maturalnej klasy rdzewieje nad barem.

Spaczone obrazki – to właśnie pozostaje po prawdzie,  
po przejściu brony czasu przez tafłę okamgnienia, plamki  
skaczą jak nagonka, po jakiej nie następuje wyjście z cienia,  
kiedy nabierasz ponownie wysokości, omijając lądowisko,  
w doskonałym momencie podnosisz głowę znad deski  
rozdzielczej, a ja widzę znowu zaćmienie, zdaje mi się  
minęło niewiele lat, kiedy zapowiadano to właśnie – podlegli  
nicości dementujemy nieśmiertelne waśnie.